

Źródło: „Dziennik Ludowy”, 1938

ZBIGNIEW MITZNER INFERNO W ZBĄSZYNIU.

Niewielu pasażerów wysiada na tej stacji z pociągu, który za chwilę przekroczy granicę polsko – niemiecką i pojedzie do Berlina. Zawsze mi się wydawało, że Zbąszyń to tylko wielki, zawsze pusty dworzec kolejowy, na którym wita się lub żegna kraj i poddaje celnej rewizji. Takim był dla mnie i przed rokiem gdy go poznałem z okna wagonu paryskiego pociągu. Myliłem się: Zbąszyń to także miasteczko, liczące około sześciu tysięcy mieszkańców.

Przed frontem dworca przebiegają błyszczące luksy i błękitne ekspresy, łączące dwa krańce lądu europejskiego, jego tył tonie w ciemnościach, panuje nad jakąś niepokojącą ciemnością, w którą się w tej chwili zanurzam, której jednak nie umiem określić.

Wielka poznańska taksówka zabiera nas łaskawie na swój pokład. Wśród nadrannej ciemności żeglujemy ku swym noclegom. Auto staje przed hotelem „Interkontinental”. Część pasażerów jest u celu podróży. Czekamy na resztę, która idzie pieszo. Wysiadam i czuję się jakby zanurzony w morzu ciemności i ciszy. Ale ta cisza niespokojna. Niespełna trzy kilometry stąd leży niemiecka granica. Te małe domki, niknące w mroku, owe polany, otwierające się wśród ulic miasteczka, czerwone światełka na torach – to jakby sceneria sensacyjnego filmu szpiegowskiego.

Ale cisza nie trwa bezustannie. Przerywa ją nagły krzyk, wydłużający się, to niknący, to znów się wzmagający. Jest ostry i niesamowity jak krzyk pawi. Stojący obok szofer wyjaśnia:

- To gęsi.

I dodaje objaśniająco:

- Tak co noc idą te transporty, ale nie do nas. Dla nich, bo jeść nie mają co.

Jakby wyczuł, że nie wiem dobrze, o kogo chodzi, dodaje:

- Panie, kiedy to się skończy? My tu już sił nie mamy. Że oni jeść nie mają, to źle. Ale po co ludzi męczą?

Żeby nie było żadnych wątpliwości, o kogo chodzi, odwraca się twarzą w stronę granicy:

- Ale my się nie damy, my będziemy walczyć! Tylko nie wiemy, co w końcu z tymi ludźmi.

Podkreśla z naciskiem:

- To są przecież ludzie.

Zatrząskujemy drzwi auta. Jedziemy dalej.

Sam restaurator i hotelarz podaje mi rano herbatę i bułkę. Pochyla się nad stolikiem i pyta:

- Kiedy to się skończy? To przecież trwa już trzy tygodnie. Wczoraj był tu wojewoda i starosta i komendant policji, ale oni mówią, że nic nie mogą, że tu decyduje Warszawa. No, ale przecież musi z tym być jakiś koniec, ludzie tak nie mogą się męczyć.

W słowach restauratora brzmi nuta głębokiego współczucia. To ton, którym mówią o tych ludziach wszyscy mieszkańcy Zbąszynia. Jest ich, jak i przybyszów, około sześciu tysięcy. W tym osiem rodzin żydowskich. Reszta katolicy.

Wychodzę na ulicę i teraz dopiero widzę, iż hotel, w którym spałem stoi prawie nad samą wodą. Staję na mostku, ale oblicze wody jest dziwnie ciemne i nieuchwytnie. Nie odbija w sobie ten moczar ani sitowia, ani nieba, ani przechodzących ludzi. Pozostaje niezmienny, nieruchomy, jakby zapadnięty w siebie.

O tym moczarze myślę, gdy patrzę w twarz pierwszego człowieka spośród tamtych ludzi. Jego rysy nie odzwierciedlają ani bólu, ani cierpienia. Człowiek ten zapadł w siebie i umie mówić tylko o tym, co było.

- Było to w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego października. Noc spędziłem nie w domu, ale w mieszkaniu przyjaciela. Rano przyszedł policjant, kazał gospodarzowi ubierać się i iść z nim. Gdy żona aresztowanego poczęła rozpaczać, skinął głową w moją stronę i powiedział: - Ten pan zostaje, będzie się panią opiekował. Żeby zostawić kobietę samą, to takimi zwierzętami jeszcze nie jesteśmy. Po półgodzinie wrócił, wylegitymował mnie i kazał iść. Do żony mego przyjaciela zwrócił się i powiedział: - Nie tylko pani jedna zostaje dzisiaj sama.

Gdy doprowadzono mnie do posterunku, przekonałem się, że mówił prawdę. Tego dnia wyaresztowano wszystkich Żydów obywateli polskich. To samo stało się we wszystkich miastach Niemiec. Wzywano ludzi na policję, a stamtąd wysyłano wprost na granicę. Zabierano chorych ze szpitali, dzieci ze szkół, sieroty ze sierocińców. Proskrypcja objęła wszystkich, od niemowląt do starców. Na moim posterunku było już około osiemdziesięciu aresztowanych. Ustawiono nas twarzami do ściany i tak przetrwaliśmy kilka godzin. Potem połączono cały transport berliński, który liczył około dwa tysiące pięciuset ludzi. Każdemu pozwolono zabrać po dziesięć marek i załadowano nas do pociągu. Po drodze nie wolno było wysiadać. W nocy stanęliśmy sześć kilometrów przed

granicą. Przeprowadzono nas naokoło lasami do granicy polskiej. Stał tam jeden polski strażnik, który tłumaczył Niemcom, że nie może nas wpuścić. Wreszcie porozumiał się telefonicznie ze swoimi władzami i wpuścił nas. Policjant doprowadził nas do Zbąszynia. Resztę zobaczy pan sam....

Zaległo przykre milczenie. Wreszcie pytam o to, jak jest właśnie tutaj. Słyszę odpowiedź.

- Pierwsze dni były straszne. Ludzie byli bez pieniędzy, bez jedzenia, bez dachu nad głową. Gdyby nie miejscowa ludność (osiem rodzin żydowskich i sześć tysięcy katolików, powtarzam sobie w myślach), umarliby z głodu. Przydzielono nam dawne stajnie. Przywieziono trochę słomy. A drugiego dnia zarząd miejski przysłał gorącej kartoflanej zupy. Pierwsza gorąca strawa. Potem przyszła pomoc z Warszawy. Zorganizowano aprowizację, pomoc lekarską, opiekę nad dziećmi, pocztę. Przystosowaliśmy się do tych warunków. I tak przeszły trzy tygodnie. Ale jak to ma długo trwać? Kiedy to się skończy?

Po raz trzeci słyszę to pytanie. Rysy twarzy mego rozmówcy jakby się zmieniły, poruszyły. Pytanie oczywiście zawisa w powietrzu. Nikt nie umie dać na to odpowiedzi.

Wychodzimy na miasto. Na ulicach panuje niezwykle ożywiony ruch. W przeciągu jednej nocy ludność miasta wzrosła o sto procent. Po jezdni krążą karetki Czerwonego Krzyża. Widać kuchnie polowe. Tak jak byśmy byli w mieście przyfrontowym.

Auto nasze zatrzymuje się. Wchodzimy do wielkiego budynku z cegieł. Przed wojną mieściła się tu stajnia dla koni wojskowej szkoły jazdy. Dziś mieszka tu kilkuset ludzi. Pod ścianami rzędy sienników. O wiele ich mniej niż mieszkańców. Poprzez ciepłe palto chwyta mnie przejmujące zimno murów. Wielki, wysoki gmach nie ma ani jednego pieca. Stoimy po środku jakby onieśmieleni swą przypadkową, niepotrzebną obecnością. Po co tu przyszliśmy, gdy jesteśmy bezradni, gdy nic pomóc nie możemy.

Z wolna otacza nas tłum o twarzach bladych i rozgorączkowanych oczach. Zrazu zalega milczenie, aż wreszcie wybucha fala skarg, żalów, złorzeczeń. Łzy mieszane z przekleństwami. Jesteśmy w pierwszym kręgu piekła.

Kompleks dawnych stajen wojskowych stanowi centrum owej filii piekła. Na ich tyłach jest jakby wielkie podwórze, rynek tego najbardziej osobliwego miasta, którego mieszkańców spędzono ze wszystkich stron Niemiec.

To, co opowiadają mieszkańcy tego miasta jest niemalże jednakowe, stereotypowe. W Hanowerze, w Kolonii, w Wiedniu, w Berlinie i w Hamburgu system był ten sam, a tylko zmieniały się nieistotne drobiazgi. System zaskoczenia działał wszędzie. Dzięki niemu po Zbąszyniu chodzą ludzie tak, jak przed trzema tygodniami wyszli ze swego domu w Hamburgu. Chodzą w tym samym ubraniu i w tej samej koszuli, ale to już nie są ci sami ludzie. Aresztowano przede wszystkim rzemieślników i właścicieli sklepów. Zarówno ludzi biednych, jak i bogatych.

Ale dziś to są już inni ludzie. Doprawdy nie wiem, czym był ten człowiek, który woła, by innych przekrzyczeć:

- Ja nie chcę nic dla siebie, a ona jest stara, ona jest chora!

Lekarz, który stoi obok mnie, rozkłada ręce: jest bezsilny. - Nasze ambulatoria – informuje mnie - udzielają około tysiąca porad dziennie. Nie są to oczywiście wszystko ciężkie choroby. Przyjmujemy jednak i leczymy każdego. Są jednak i chorzy naprawdę. Zdarzają się ataki szału. Tych naprawdę chorych zabieramy do naszego szpitala, a w poważniejszych wypadkach staramy się odsyłać do prawdziwego szpitala, ale tu napotykaemy na duże trudności. Z przerażeniem myślę, o nadejściu zimy i mrozów, co może spowodować masowe zachorowania.

Obeszliśmy stajnię naokoło. Pojechaliśmy dalej. Widzieliśmy oba ambulatoria, szpital, siedzibę ozdowieńców i pięciopiętrowy, prawdziwie czarci młyn od pułapu do fundamentów wypełniony wygnańcami. Na szczyt młyna wchodzi się po drewnianych, wąskich, stromych schodach. A na szczycie skóra cierpnie na myśl o jednej zapałce, która może tu wzniecić pożar. Na tym przypadku, że ta zapałka nie zapali wysuszonego drewna, zawisło życie wielu setek ludzi, którzy ten młyn zaludniają dniem i nocą i z którym zastępuje on mieszkanie.

Ale oto, pustą szosą, biegnącą wśród sosnowego lasu, jedziemy do granicy. Auto nasze staje u biało – czerwonego szlabanu. Po prawej stronie drogi mały, schludny, miły budynek straży granicznej. Mijamy go, przechodzimy koło szlabanu i idziemy kilkanaście kroków dalej naprzód, nad samą granicę. Wyznaczają ją dwa kopce po obu stronach szosy. O kilkanaście kroków dalej buduje się dom, jakiś robotnik uwija się wokół niego. Dom ten jest już w Niemczech. Zawracamy i wchodzimy do strażnicy.

Znalazło tu przytułek czterdziestu paru wygnańców, którzy według opinii władz nie mają ustalonego obywatelstwa. Warunki ich bytowania są o wiele lepsze od Zbąszyńskich. Dwa opalane pokoje, które oddano im do rozporządzenia, stanowią w tutejszych warunkach wielki luksus. Ten luksus rekompensuje niepokój, niepewność jutra wśród tych ludzi, dla których Zbąszyń wydaje się rajem pewności, oparcia o siłę państwa, państwa, którego się jest obywatelem.

A trudno powiedzieć, by tych ludzi dopiero niedola i prześladowanie uczyniły świadomymi obywatelami Polski. Żyd z Wiednia, który trzydzieści lat mieszkał poza krajem, w tej nadgranicznej strażnicy mówi do mnie: - Ja, proszę pana, zawsze byłem i jestem polskim obywatelem. Nie patrzę nawet na paszport, który mi podsuwa. Ojczysty język polski, którym mówi ten człowiek nie stary jeszcze, który jako młody chłopak musiał opuścić kraj, jest najlepszym dowodem, że mówi prawdę.

Na drugim końcu Zbąszynia leży druga granica tej sprawy. Na stadionie bawią się dzieci. Mieszkają w hali gimnastycznej. Dzieci bawią się w berka. Ale nie same. Z powagą odwiedzają je dzieci z miasteczka, gdy mają czas po zakończeniu nauki w szkole. Zabawa wówczas idzie wspaniale. Te dzieci przyjezdne,

te obce, zapominają już o przeszłości i o przeżyciach ostatnich dni, te tutejsze uważają, że można z nimi doskonale się bawić i nie czują w nich nic obcego, ani wrogiego.

Żegnamy dzieci i wracamy do miasta. Miasto tubylców i miasto wygnańców pulsują wspólnym przyspieszonym tętnem. Zmęczenie i oczekiwanie charakteryzują jego życie. Znow na ustach wszystkich pytanie: - Kiedy to się skończy? – Na to jednak nikt ani w Zbąszyniu ani w Nowym Tomysłu ani nawet w Poznaniu nie umie odpowiedzieć.

Wieczorem opuszczam Zbąszyń. Przy wyjściu na peron kolejarz sprawdza bilety, a policjant dowody. Z wysokości stalowej wieży dwa reflektory oświetlają tory. Jest w ich promieniu widno jak w dzień: Pociągi idące w stronę granicy nie są oświetlone. Tory prowadzące w stronę zachodu pozostają ciemne.

W tamtej stronie jest granica. W taka noc jak ta, dzisiejsza, pędzono tam wśród innych słynną grupę hamburską. O jej drodze tak mówiła jedna wygnanka: - Wśród nocy kazano nam wysiadać z pociągu i iść naprzód przez las. Potykając się, upadając, kalecząc o gałęzie, gubiąc krewnych, szliśmy, nie wiedząc dokąd. Byliśmy u kresu sił. Wreszcie znaleźliśmy dobry punkt. Oddział wojska rozstąpił się, żołnierze nałożyli bagnety na karabiny. Esesmani wzięli się za ręce i utworzyli kordon pchający nas ku granicy. Po bokach szli żołnierze. Wśród ciemności rozlegały się pojedyncze strzały. Napór z tyłu wzrastał. Jeszcze krok i przekroczyliśmy granicę.

Przekroczona granica. To nie tylko ta urojona linia między dwoma kopcami po obu stronach szosy. Przekroczono także granicę drugą, „granicę ludzkiej krzywdy, granicę ludzkiego cierpienia”. Jeśli wierzyć w sprawiedliwość i potęgę norm moralnych – tej granicy nie wolno przekraczać bezkarnie.

O autorze: Zbigniew Mitzner był w 1938 r. młodym działaczem PPS, naczelnym redaktorem „Dziennika Ludowego” oraz współredaktorem satyrycznego tygodnika „Szpilki”. Jego główną domeną pisarską były felietony.